

MARKO MARTIN

O aktualności przestrogi „Mane, tekel, fares“

Kilka przemyśleń na temat Wschodu i Zachodu, (nie tylko) w czasach wojny

Na wstępie postscriptum: Ten tekst był już gotowy, gdy gangsterski przyjaciel Putina w Białym Domu pokazał swoje prawdziwe oblicze – ku niepohamowanej radości Kremla, ale także niezliczonych antyliberalów na Zachodzie. „Pokój” jako najnowsza, ale bynajmniej nie bezprecedensowa formuła, za pomocą której despoci usprawiedliwiają zdradę i bezwstydną odwrócenie sprawców i ofiar. Poniższe spojrzenie w przeszłość może zatem nie być całkowicie zbędne...

„Różnica między intelektualistą zachodnim i wschodnim“, powiedział kiedyś Czesław Miłosz, „polega na tym, że ten pierwszy nigdy tak naprawdę nie dostał w mordę“. Nagrodzony w 1980 roku Literacką Nagrodą Nobla Miłosz uchwycił tu różnicę, która od roku 1945 odgrywa ważną rolę i to nie tylko jeśli chodzi o życie intelektualistów. Oczywiście daty mają tutaj decydujące znaczenie: w końcu niemiecki narodowy socjalizm – i w różnym stopniu włoski faszyzm – w swojej ściśle zorganizowanej manii milionowego mordowania i eksterminacji już wcześniej pozbawiły życia nie tylko niezliczonych wschodnich, ale także zachodnich artystów i intelektualistów, przede wszystkim Żydów. Wytepieni lub wypędzeni, zniszczeni fizycznie lub psychicznie. Wielu z tych, którzy przeżyli obozy koncentracyjne lub konspirację, którzy pozostali na amerykańskiej emigracji lub powrócili stamtąd do Europy Zachodniej lub Niemiec Zachodnich, doszło do podobnych wniosków jak ich polski kolega. To właśnie oni mieli głębokie przeczucie tego, jak stale zagrożona jest ludzkość – i jak katastrofalne w skutkach jest mylenie dających się naprawić krzywd z fundamentalnymi zagrożeniami.

Ale być może właśnie dlatego pozostali mniejszością w tej swojej domenie i ich słowa niestety nie stały się wyznacznikami dla młodszych pokoleń zachodnich Europejczyków. Zanim Hannah Arendt zyskała światową sławę, jej eseje w żadnym razie *nie były* tekstami odniesienia dla protestujących w 1968 roku kalifornijskich, paryskich, frankfurckich czy zachodniobерlińskich studentów, a szwajcarska przyjaciółka Czesława Miłosza, filozofka Jeanne Hersch, do dziś pozostaje w dużej mierze nieznana. To samo dotyczy – mimo chwilowej popularności powieści „Zaćmienie słońca” – książek i relacji z doświadczeń takich autorów jak Arthur Koestler czy Manés Sperber. (Chociaż nie jest przypadkiem, że ci dwaj ostatni, urodzeni odpowiednio w Budapeszcie i Galicji na początku XX wieku, mieli „wschodnio-zachodnią” socjalizację, zarażeni komunizmem w młodym wieku, następnie zrywali z nim na wygnaniu w Paryżu, jako refleksyjni przeciwnicy Hitlera i Stalina).

Wielu wiodących postępowców na Zachodzie zaabsorbowanych przede wszystkim sobą – co zresztą w fatalny sposób utrzymuje się do dziś – wierzyło, że mogą po prostu zignorować wschodnie doświadczenia i zepchnąć je do sfery anachronizmu. W końcu co to ma właściwie znaczyć, że „nigdy tak naprawdę nie dostali w mordę”? Czyż nie cierpiano straszliwie z powodu „fałszywej świadomości” kapitalistycznego społeczeństwa opartego na konsumpcji, a wręcz z powodu „terroru” tejże, czyż nie byliśmy więźniami parlamentarno-burżuazyjnej „machiny złudzeń”? Wpadając raz w taki tryb, nie zna się granic ckliwości czy trawestacji oporu. Co, nawiasem mówiąc, jest prawdą w dosłownym znaczeniu tego słowa: ciągłe rzucanie podejrzeń na liberalną demokrację, której oczywiste słabości są rozdmuchiwane do systemowych wad konstrukcyjnych, już dawno przeniosło się z lewej na prawą stronę sceny politycznej. Ale były też poważniejsze zastrzeżenia: czy na Zachodzie walczone aby wystarczająco zdecydowanie o większy postęp i sprawiedliwość? Czy to aby nie ten ciągły produktywny niepokój, krytyka i samokrytyka stanowiły istotę Zachodu i sprawiały, że błyszczał – i to nie tylko na Wschodzie? Wszystko to oznacza, że nawet mimo najlepszych chęci, a nie tylko z urażonej próżności, Czesław Miłosz mógł być dla wielu całkowicie niezrozumiały. Prawdą jest również, że nie tylko duża część demokratycznej lewicy, ale także zachodnia prawica nie bardzo wiedziała, co zrobić z myślicielami takimi jak Czesław Miłosz, Leszek Kołakowski czy Václav Havel: Uwięzieni w prymitywnym powojennym antybolszewizmie, który nierzadko miał konotacje rasistowskie i służył przede wszystkim relatywizowaniu niemieckich zbrodni przeciwko ludzkości, oraz w trwającym ahisterycznym zachwycie „chrześcijańskim Zachodem”, pozostawali głusi na przestrogi.

Nieprzypadkowo to właśnie Karl Jaspers napisał przedmowę do pierwszego (zachodnio)niemieckiego wydania „Zniewolonego umysłu” w 1953 roku – filozof, który był nauczycielem Hanny Arendt i Jeanne Hersch w Heidelbergu oraz kolegą Martina Heideggera, z którym zerwał kontakt po 1933 roku. Jaspers, który podczas wojny został w Niemczech i ledwo uniknął deportacji do obozu koncentracyjnego pod sam jej koniec, wiedział z własnego doświadczenia, jak niemal nieograniczone są możliwości „umysłu”, pozwalające naginać złożoną rzeczywistość do własnych upodobań i uzasadniać niesprawiedliwość, posługując się teoriami historii filozofii. Urodzony w Oldenburgu w północnych Niemczech, z pewnością rozumiał Czesława Miłosza, który urodził się w małej litewskiej wiosce, a teraz opisywał uniwersalne wzorce na precyzyjnym historycznie tle.

Miłosz, który podczas niemieckiej okupacji z narażeniem życia działał w podziemiu – Instytut Pamięci Jad Waszem przyzna mu później honorowy tytuł „Sprawiedliwego wśród Narodów Świata” za ratowanie polskich Żydów – wycofał się ze służby dyplomatycznej w swojej nowo stalinowskiej ojczyźnie w lutym 1951 roku, a następnie żył, początkowo w kiepskich warunkach, jako uchodźca

polityczny we Francji. A jednak ta nieco wręcz ordynarnie brzmiąca sentencja, która później stała się sławna, „naprawdę dostać w mordę”, nie odnosiła się wyłącznie do jego własnej biografii, ani nie wynikała z chęci uzyskania jakiegokolwiek wyróżnienia. Nie dla niego, najskromniejszego ze sceptyków. Nawet będąc na emigracji na Zachodzie, zawsze był świadomy tego, co działo się na Wschodzie. W Europie Wschodniej, w której – w przeciwieństwie do wyzwolonego i wkrótce gospodarczo prosperującego powojennego Zachodu – pociągi deportacyjne z krajów bałtyckich toczyły się do rosyjskich obozów, ideologiczna *tabula rasa* została ponownie siłą narzucona społeczeństwu krajów ogłoszonych państwami satelitarnymi, a na uniwersytetach (w tym tutaj w Krakowie) intelektualisci byli zastraszani, więzieni, a nawet mordowani. A to, nawiasem mówiąc i wracając do „Zniewolonego umysłu,” pod presją sofistycznych uzasadnień tych, którzy stali się współnikami reżimu, w jego naśladownictwie lub z prawdziwego przekonania.

Na obronę można powiedzieć, że wszystko to ma obecnie znaczenie czysto historyczne. Język niemiecki ma nawet na to dwa powiedzonka, pełne ignorancji w swojej lekkomyślności: „Schnee von gestern” (wczorajszy śnieg) i „kalter Kaffee” (zimna kawa). Uważam natomiast, że doświadczenia niezliczonych wschodnioeuropejskich pisarzy i intelektualistów są nieprzerwanie aktualne: *Pars pro toto* od Czesława Miłosza przez Václava Havla po Serhija Żadana, który wraz z tyloma innymi walczy od miesięcy jako żołnierz ukraińskiej armii, by położyć kres masowym mordom stalinowskiego rewanżysty na Kremlu w jego krwawej wojnie o podbój. Albo, powiedzmy to dosadnie: aby przynajmniej ludzie na Zachodzie nadal „tak naprawdę nie dostali w mordę”.

To z kolei prowadzi nas z powrotem na Zachód i do pytania, czy ludzie tam naprawdę zdali sobie sprawę, o jaką stawkę tutaj chodzi. A jednocześnie z powrotem do Krakowa, miasta, w którym w ubiegłym wieku, podobnie jak w Odessie i niezliczonych innych miejscach w okupowanej Europie Wschodniej, Niemcy, uważający się za „rasę panów”, popełnili zbrodnie przeciwko ludzkości na Żydach i nie-Żydach. Zwłaszcza w tych miesiącach, na które przypada osiemdziesiąta rocznica wyzwolenia obozu koncentracyjnego i zagłady Auschwitz oraz militarnej klęski Trzeciej Rzeszy, po raz kolejny można usłyszeć słynne „Nigdy więcej”, zwłaszcza w moim kraju, Republice Federalnej Niemiec. Oczywiście jako wezwanie, a nie jako pełne nadziei zapewnienie, że „to” się nigdy nie powtórzy.

Ale co z tego wynika? Wezwanie do praworządnego oporu przeciwko coraz silniejszej prawicowej partii ekstremistycznej, która wykorzystuje propagandę nienawiści i obrzydliwe historyczne fabrykacje i grozi zatruciem całego społeczeństwa. To ważne, to obecnie priorytet. A jednak pozostaje pewien niepokój, jakaś luka. Dlaczego wielu „dobrych Niemców”, którzy nie zamykają oczu na masowe zbrodnie swoich przodków, wciąż popiera dziwnie skróconą

formułę „Nigdy więcej wojny”? I dlaczego równie wątpliwy slogan „Przemoc nie jest rozwiązaniem” jest wciąż tak popularny wśród wielu z tych, którzy są szczególnie zaangażowani w walkę z antysemityzmem i rasizmem, którzy wychodzą na ulice, manifestując w imię ochrony klimatu, równości płci i innych humanitarnych celów? (Tak, pomyślmy raz jeszcze o zdaniu Miłosza, jako że wśród nawołujących do „Nigdy więcej wojny / przemoc nie jest rozwiązaniem” nie brakuje intelektualistów).

Już na początku lat 80. filozof André Glucksmann, syn wschodnioeuropejskich Żydów, którzy wyemigrowali do Francji, wielokrotnie pytał w Paryżu, dlaczego w Niemczech tak ostentacyjnie nawoływano do „Nigdy więcej wojny”. Czy zamiast tego apel ten nie powinien brzmieć „Nigdy więcej Auschwitz, nigdy więcej Treblinka, nigdy więcej Sobiboru, nigdy więcej Shoah i ludobójstwa, nigdy więcej rasy panów, agresji i okupacji”? I, nie relatywizując ani trochę prawdziwie niemieckich zbrodni, „Nigdy więcej Katynia, nigdy więcej Gułagu, nigdy więcej Hołodomoru, nigdy więcej paktu Ribbentrop–Mołotow, nigdy więcej »czystek«, nigdy więcej »bratniej pomocy«”.

Glucksmann, który, ku zdumieniu, a nawet obrzydzeniu wielu niemieckich pacyfistów, opowiadał się za solidną zachodnią obroną i zdolnością odstraszenia, wyraził w ten sposób to, co dla większości wschodnioeuropejskich intelektualistów było całkowicie wykluczone, choćby z powodu ich popękanych biografii rodzinnych. Wojna wojnie nierówna, obrona to nie to samo co atak, a slogan „przemoc nie jest rozwiązaniem” to nic innego jak lekkomyślnie wystawiony czek in blanco na okupację i morderstwo w obliczu sprawcy przemocy, który jest zdeterminowany, by zrobić wszystko. W konsekwencji więc współudział.

Ci bowiem, którzy równie mgliście co elokwentnie ostrzegają przed „przemocą” i opowiadają się za bliżej nieokreślonym „pokojem”, nie tylko przyczyniają się do rozbicia siebie i innych oraz pozbawienia się kontroli nad terminologią, ale także pozostawiają moc definiowania dzisiejszym sprawcom. Bo oczywiście, jak Putin i jego minister spraw zagranicznych Ławrow mówią do każdego mikrofonu, oni przecież też chcą „pokoju” – choć pod warunkiem, że Ukraina przestanie być niepodległym państwem, a jej mieszkańcy podporządkują się Rosji.

Niewystarczające wsparcie militarne Niemiec dla brutalnie zaatakowanego kraju dowodzi, że nie są to tylko semantyczne gierki. Do tego dochodzi oczywista niechęć demokratycznego środka do otwartej dyskusji właśnie na temat tych błędnych wyobrażeń, które do dziś prowadzą do braku decyzji lub złych decyzji. Natomiast wschodnio- i zachodnioeuropejscy populiści i prokremlowscy propagandyści nie potrzebują nawet tak usprawiedliwiającego moralnie pretekstu dla *swojej* amoralnej odmowy stanięcia po stronie zaatakowanych – i być może są w tej swojej brutalnej i podstępnej postawie nawet bardziej szczerzy.

Jednak nawet w tych krajach Europy Zachodniej, w których istniały kiedyś ruchy oporu przeciwko nazizmowi i faszyzmowi i gdzie durne „przemoc nie jest rozwiązaniem” jest słyszane znacznie rzadziej, mało kto może to sobie wyobrazić:

Naród, któremu dekretuje się z zewnątrz przez podbój i późniejsze pociągnięcia piórem, że od teraz już nie istnieje. Tak było w Polsce w XVIII, XIX i XX wieku i taki jest „projekt” Kremla w Ukrainie w XXI wieku.

(Również we Włoszech rozprzestrzenia się ten agresywny brak zainteresowania losem najechanego kraju – spostrzeżenie, które zawdzięczam imponującej książce Francesci Melandri „Piedi Freddi”, którą zacząłem czytać w niemieckim tłumaczeniu podczas podróży pociągiem do Krakowa. Jednocześnie, co za przywilej: siedzieć we wschodnioeuropejskim pociągu, nie martwiąc się o rakiety, drony i bomby szybujące. A dokładniej: nie musieć się *jeszcze* tego obawiać).

Bo tak, wciąż istnieje przepaść w świadomości i postrzeganiu między Europą Wschodnią i Zachodnią. Podczas gdy za trzy miesiące jedni będą – całkiem słusznie – świętować rocznicę końca II wojny światowej i wyzwolenia od nazizmu, inni zwrócą również uwagę na fakt – i znów prawdopodobnie w dużej mierze nie zostaną wysłuchani – że to spojrzenie wstecz nie jest oczywiście błędne, ale jest niepokojąco *niekompletne*. To bowiem, co na Zachodzie (z wyjątkiem Portugalii i Hiszpanii, które dopiero później pozbyły się swoich dyktatur) rozwinęło się po 1945 roku, nie tylko dzięki amerykańskiej pomocy, w postaci liberalnych demokracji konstytucyjnych i co z biegiem lat stawało się coraz bardziej wyrafinowane, na tyranizowanym wschodzie kontynentu mogło zostać instytucjonalnie zrealizowane dopiero po 1989 roku, *po* zakończeniu rządów Moskwy i jej reżimowych satrapów.

Ale czy obecne triumfy nieliberalnych partii na Wschodzie i Zachodzie, które ostentacyjnie gardzą zasadami równowagi sił i demokratycznymi opiniami, nie powinny wreszcie dojrzeć do uświadomienia sobie, że doświadczenia Europy Wschodniej i Środkowo-Wschodniej w żadnym wypadku nie odnoszą się wyłącznie do przeszłości, ale są sejsmografem, lustrem i konkretną zapowiedzią tego, co może się wydarzyć również na Zachodzie, który uważa się za tak stabilny? Dlaczego atmosfera podsycania strachu i ograniczania wolności słowa, opisana przez autora Michala Hvorecký'ego ze Słowacji pod obecnymi rządami Fico, nie miałyby stać się rzeczywistością także gdzie indziej?

Jeśli nawet w Polsce w okresie rządów Kaczyńskiego rządy prawa zostały tak fundamentalnie zniszczone, to gdzie jest gwarancja, że Zachód – i to nie tylko intelektualisci, dziennikarze czy sędziowie – nie dostanie w pewnym momencie „naprawdę w mordę”? Nie wspominając już o ideologicznych sojuszach między autorytarnym węgierskim Viktorem Orbánem, personelem niemieckiej partii AfD, Matteo Salvinim we Włoszech czy Marine Le Pen we Francji. Co więcej, jeśli Kijów i Charków są bombardowane, a nawet błędzący amerykański prezydent współobwinia za to teraz *ofiary* i zmniejsza dla nich wsparcie – cóż nam pozostało z Zachodu? **Można powiedzieć, że każdego dnia, z każdym kolejnym oświadczeniem Trumpa, Muska i spółki, jest go coraz mniej.**

Już ponad cztery dekady temu, prześladowany przez czechosłowackie tajne służby, w krótkim okresie między licznymi nałożonymi na niego wyrokami więziennymi, Václav Havel pisał: „Czyż nie jesteśmy w rzeczywistości – nawet jeśli według zewnętrznej skali wartości cywilizacyjnych znajdujemy się tak daleko w tyle – rodzajem memento dla Zachodu, ujawniającym jego ukryte tendencje?”.

Wtedy ludzie nie chcieli tego słuchać. A po upadku reżimu socrealizmu w 1989 roku, nie tylko w Pradze, Jürgen Habermas, wówczas i obecnie prawdopodobnie najwybitniejszy filozof Republiki Federalnej, z wielkodusznym gestem mówił paternalistycznie o „rewolucji nadrabiania zaległości”. Odnosiło się to co prawda, i słusznie, przede wszystkim do modelowego charakteru zachodniej demokracji parlamentarnej i gospodarki rynkowej, a tym samym do (wówczas jeszcze lśniących) ram odniesienia, które oferowały one Wschodowi. Ale mimo wszystko, czy to mówienie o „rewolucji nadrabiania zaległości” nie niosło ze sobą również arogancji polegającej na degradowaniu wschodnioeuropejskich intelektualistów, a tym samym kluczowych postaci stojących za pokojowymi rewolucjami, do statusu postmyślicieli, odważnych interpretatorów tego, co od dawna zostało wystarczająco dogłębnie przemyślane na Zachodzie – od Oświecenia do tzw. „Dialektyki Oświecenia”, że tak to ujmę? Odpowiada to powszechnemu przekonaniu, że po 1989 roku nadszedł „koniec historii” i wszystkie ważne bitwy zostały już stoczone, więc od teraz wszystko było tylko kwestią dokładnego dostrojenia. W rzeczywistości taka myśl zrodzić mogła się tylko w bezpiecznie osłoniętych salach studyjnych na Zachodzie.

A co z teraźniejszością, która teraz szczypie również Zachód? Czyż nie jest tak, że niektórzy ludzie na Zachodzie, pomimo całej obecnej gołosłownej mowy o „napastniczej wojnie Putina,” nadal wierzą, że zegary w Europie Wschodniej chodzą inaczej, tj. *wolniej*? Taką ignorancję utrzymać można jednak tylko kosztem niemal skandalicznego zapomnienia: Czyż prominentni ludzie Zachodu w dekadach po 1917 roku nie wychwalali *ex oriente lux* i nie widzieli przyszłości całej ludzkości w socjalizmie (ze stalinizmem lub bez)? Aż w pewnym momencie wszystko stało się nieaktualne, a rzekoma „ojczyzna robotników” została zastąpiona obrazem „Trzeciego Świata” lub, jak głosi modne ostatnio określenie, „Globalnego Południa”.

A ci ze Wschodu, którzy tworząc „homo sovieticus”, zobaczyli coś zupełnie nowego i masowo kompatybilnego w przerażającym sensie, którzy precyzyjnie opisali imperium w jego osobowościobójczym i pożerającym terytorium charakterze i dlatego ostrzegali nasycony Zachód – i to bez wpadania w pułapkę pełnego resentymentów, reakcyjnego pesymizmu kulturowego, jak Aleksander Sołżenicyn? Dalecy od konieczności *nadrabiania* zaległości, mieli i mają coś wyprzedzającego Zachód – mianowicie doświadczenie pęknięcia i kruchości i to nie tylko systemów, instytucji i granic, ale także ludzi, skonfrontowanych z fizyczną i psychiczną bezbronnością. „Zawsze grozi nam powrót do goryla”, pisał Henryk Elzenberg już w roku 1936. I to postrzeganie kruchości nie jest, nawiasem

mówiąc, banalnym podsumowaniem naiwnego sposobu myślenia, który zakłada wieczną stabilność, ale wręcz przeciwnie, jest *podstawą*, fundamentem, na którym opierają się ludzkie myśli i powstaje siła oporu.

Czesław Miłosz, Vaclav Havel, Gustaw Herling-Grudziński, Witold Gombrowicz, Hanna Krall, Eugene Ionesco, Norman Manea, Milan Kundera, Raisa Orłowa-Kopelew, Andriej Sinjowski, Jelena Bonner i Andriej Sacharow, Zbigniew Herbert, Warłam Scharlamow, Adam Zagajewski, György Kónrad, Josef Skvorecký... Oczywiście lista ta jest niekompletna, a nawet przytoczenie wymienionych tu osób wraz z ich dokładnymi ostrzeżeniami wykraczałoby poza ramy nie tylko tego wystąpienia, ale i całego festiwalu. Warto jednak pamiętać o Josefie Skvorecký'm, który musiał opuścić swoją ojczyznę po inwazji sowieckiej na Pragę i od tego czasu mieszkał z żoną w Toronto. Ze swoim niewielkim, ale sprawnie działającym wydawnictwem „Sixty-Eight Publishers” zrobił niezmiernie wiele, aby rękopisy, książki, a tym samym doświadczenia ze Wschodu nie zostały całkowicie przysłonięte przez cień żelaznej kurtyny. Tak jak białoruscy artyści prześladowani przez reżim Łukaszenki zakładają obecnie wydawnictwa na emigracji w Polsce i krajach bałtyckich, często narażając się na ataki ze strony popleczników dyktatury.

W ciągu dnia Skvrecký wykladał na uniwersytecie, ale przede wszystkim nadal pisał swoje mądre i dowcipne powieści. Takie jak „Inżynier dusz”, w której jego *alter ego* cierpliwie wyjaśnia wiele rzeczy kanadyjskim studentom, tym dobrodusznym, ale straszliwie naiwnym „dzieciom prerii”: Nie, żelazna kurtyna nie jest „metaforą zimnych wojowników”, ale żalosną rzeczywistością, którą kiedyś nazywał swoim domem. I tak, liberalny Zachód jest wyzwolony do tego stopnia, że spokojnie znosić może kampusową paplaninę pełną egomaniakalnego zamętu, której udaje się zadawać pytania takie jak „Are there ANY values in this society worth fighting for?”.

W ciągu ostatnich kilku lat wielokrotnie przychodziły mi na myśl spokój i suwerenność tego czeskiego pisarza na wygnaniu, który mimo otaczającej go i hołubionej głupoty nie popadł w pogardę. Bo z jaką anielską cierpliwością wschodni Europejczycy – niektórzy z nich, jak Tomas Venclova, Jurij i Sofia Andruchowyczowie czy Andriej Kurkow, są uczestnikami tego festiwalu – tłumaczą swojej zachodniej publiczności, o co tak naprawdę chodzi w kremlowskim imperium, w rzekomo „rozczarowanym modernizatorze Putinie” czy „ignorowanych rosyjskich interesach bezpieczeństwa” – innymi słowy, we wszystkich, powiedzmy to bez owijania w bawełnę, całkowicie przerażających *bzdurach*, które nawet mądrzejsi ludzie na Zachodzie powtarzają zgodnie z moskiewskim scenariuszem. **Mówiąc dobitniej: ci rzekomi „umiarkowani” na Zachodzie również pomogli przygotować grunt pod szalone kłamstwa Trumpa. W związku z tym:** Cóż to za wypracowana życzliwość skropiona sarkazmem, coś za ugruntowane zaufanie w przekonującą moc przejrzystej prawdy! I coś za wierność wobec wcześniejszych lektur, gdy na przykład ukraiński

filozof Anatolij Jermolenko, głęboko zainspirowany obywatelskim obrazem ludzkości Jürgena Habermasa, pisze do niego w liście otwartym, który jest równie pełen szacunku, co krytyczny, przypominając mu o najbardziej widocznej, najbardziej oczywistej rzeczy: społeczeństwa obywatelskie nie tylko mogą, ale zawsze *muszą* być gotowe do obrony, a wahania w obliczu agresorów nie prowadzą do pokoju, ale do dalszej wojny. W końcu miasto Mariupol zostało zaatakowane i podbite z terytoriów już okupowanych przez Rosję od 2014 roku, a masowe morderstwa w Buczy mogły mieć miejsce również dlatego, że wojska Putina posuwały się naprzód od strony Białorusi. „Jeśli Ukraina przegra tę wojnę o swoją suwerenność”, napisał filozof z bombardowanego Kijowa do swojego kolegi nad spokojnym bawarskim jeziorem Starnberg, „Rosja bez wątplenia pójdzie dalej i zajmie Europę”.

Co sprowadza nas do punktu wyjścia: „Różnica między intelektualistą zachodnim a wschodnim polega na tym, że...”. Ci, którzy nie zrozumieli systemu sowieckiego – często nawet nie dlatego, że z nim sympatyzowali, ale dlatego, że podchodzili do niego z oczywistą ignorancją – nadal będą mieli trudności z postrzeganiem postsowieckiego społeczeństwa i jego obecnych *przywódców*. I tak konsekwencje nałożonej na siebie ślepoty trwają do dnia dzisiejszego. „Istnieje tendencja”, pisał szwedzki poeta Lars Gustafsson już we wczesnych latach siedemdziesiątych, „postrzegania historii jako czegoś, co pojawia się w książkach historycznych”. A ona oczywiście nigdy tam nie pozostaje.

Co więcej, zachodnim, a zwłaszcza amerykańskim intelektualistom może teraz grozić to, co Czesław Miłosz określił kiedyś doświadczeniem Wschodu, włączając w nie współludzi tych, którzy uważają się za prekursorów i „przed-myślicieli”. Podjęta przez Donalda Trumpa próba podważenia precyzyjnie wyważonego systemu *checks and balances*, a tym samym zniszczenia fundamentów liberalnej demokracji, znajduje obecnie wielu zwolenników – i to nawet poza bankami platform cyfrowych. Pod modnymi hasłami „zakłóceń” i „odbiurokratyzowania,” to, co destrukcyjne, postrzegane jest jako siła vitalna. Młodszy (i wcale już nie tacy młodzi) ludzie mediów są odurzeni zuchwałym „czynem”, jawi im się „bieg historii”, a to, co przecież logiczne, wymaga niepohamowanego działania. Już nie z odniesieniami do Hegla i Marksa, ale z podobną buńczuczną furorą. I nie ma co do tego wątpliwości – postaci takie jak nieżyjący od dawna stalinowski wojownik kulturowy Żdanow już dawno znalazły zachodnich rewanżystów, a dla współczesnych Marinettich to już nie Mussolini, lecz Elon Musk jest niekwestionowanym męskim ideałem.

W latach siedemdziesiątych, kiedy wszystkie neoprawicowe wrzaski były jeszcze lewicowymi okrzykami, Josef Skovrecky na swoim kanadyjskim uniwersytecie z przekonaniem cytował ostatnie zdanie z *Huckleberry Finn* Marka Twaina: *I been there before*. Jego koledzy z Europy Wschodniej, socjalizowani w czasach komunizmu, mogliby powiedzieć to samo. Ale *so what*, chciałoby się rzec, teraz

ludzie na Zachodzie doświadczają, że dosłownie mocne zdanie Czesława Miłosza nie było aksjomatem, ale precyzyjnym ujęciem rzeczywistości. Miejmy nadzieję, że niektórzy z nich przynajmniej teraz spojrzą na Europę Wschodnią w poszukiwaniu intelektualnej amunicji, zamiast zastygać w biernym i płaczącym „Dlaczego my?”.

Na koniec jeszcze krótka reminiscencja natury autobiograficznej. (Wobec sytuacji, w jakiej znaleźli się ludzie, a więc i nasi koledzy, w Ukrainie, wydaje mi się niestosowne mówić o *sobie*, *swoich* uczuciach itp. w sposób szeroki czy precyzyjnie szczegółowy). Faktem jest jednak, że 19-letni wówczas chłopak z Niemiec Wschodnich, który odmówił odbycia służby wojskowej i który przybył do Niemiec Zachodnich w maju 1989 r., wkrótce miał szczęście zdobyć dodatkowe doświadczenie: Krytyczni wobec reżimu w Europie Wschodniej autorzy naprawdę mieli mu do powiedzenia coś zupełnie innego niż większość autorów w byłej NRD – a także ich *gros* w Republice Federalnej. Fakt, że odkrycie erotyki przebiegało u niego równoległe z odkryciem książek Milana Kundery i Witolda Gombrowicza, tylko po to, by zaowocować własnymi opowiadaniem, jest czymś, do czego być może moglibyśmy wrócić później. Natomiast od 2021 roku, za każdym razem, kiedy jestem w Krakowie, odwiedzam kryptę kościoła Świętych Apostołów Piotra Pawła. I za każdym razem przeżywam tam szok, bo za jednym z łuków kryje się kamień i marmur i wiersz po polsku – a ten, kto go napisał, był dobrym przyjacielem, tak pełnym życia, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy w Café Odeon w Paryżu, pełnym pozbawionej złudzeń wdzięczności za istnienie i filantropijnej ironii, a jednocześnie nieufający paraliżującej naturze permanentnej ironizacji, którą często dostrzegał na Zachodzie, który to Zachód mimo wszystko tak bardzo lubił: Adam Zagajewski! A co możemy tam teraz przeczytać w tej krypcie? *1945-2021*. Coś tak nieskończenie statycznego nie może jednak być, w myśl tego, co pisał wcześniej Adam o „niepokoju, który pędzi wędrowców / i obraca koła rowerów, młynów i zegarów”.

Poza tym, czym są daty, jeśli nie wypełnimy ich życiem? Latem 1999 roku nacisnąłem klamkę ogrodowej furtki na paryskim przedmieściu Maisons-Laffitte i podszedłem do niewielkiej willi ukrytej w cieniu drzew. Wewnątrz budynku, w którym mieściło się emigracyjne czasopismo „Kultura”, istniejące od 1947 roku, Jerzy Giedroyc, rok przed śmiercią, opowiadał o książkach i ideach, które on i jego koledzy stworzyli w ciągu dziesięcioleci pracy. Utrwalili oni w świadomości nie tylko wschodnioeuropejskich intelektualistów, że wolność i demokracja są niezbędne dla Białorusi, Ukrainy i krajów bałtyckich, ale także dla wolnej Polski – i wolnej Europy. Jakaż to była radość, że z pomocą tych czytelników „Kultury”, którzy weszli do polityki po 1989 roku, udało się to w końcu także instytucjonalnie umocować i stare niedobre opowieści o wzajemnych sąsiedzkich animozjach dobiegły końca – dla dobra całego kontynentu. **Zwłaszcza teraz, gdy USA zmieniły strony, nie są to tylko nostalgiczne historie.** „Czesław Miłosz tu był” – powiedział Jerzy Giedroyc. „Miłosz, a po latach, bo chyba w 1964 roku, pojawił

się tu pewien osiemnastoletni Polak z Warszawy, spragniony duchowej stawy i możliwości zrobienia z niej czegoś konkretnego. Nazywał się Adam Michnik...”.

W tym samym roku, na Kongresie PEN Klubu w Warszawie, widziałem Czesława Miłosza na wieczornym odczycie w restauracji Belvedere w Oranżerii Parku Łazienkowskiego. Siedział tam przy małym okrągłym marmurowym stoliku, zakrzywiona gałka jego łaski opierała się o krzesło, i czytał wiersze, a wraz z nim swoje wiersze czytała Wisława Szymborska. Niestety nie mówię po polsku, ale byłem w stanie, wraz ze wszystkimi innymi gośćmi, cieszyć się tymi dwoma głosami, ich modulacją, płynącym przed siebie spokojnie basem, ich dźwięcznymi załamaniem. Wisława Szymborska czytała być może ten wiersz z pięknym wersem o „tych ziemskich chwilach / proszonych, żeby trwały”, cichej pochwale niezapomnianego momentu. A Miłosz być może ten o wspaniałym tytule „Ucziwe opisanie samego siebie nad szklanką whisky na lotnisku, dajmy na to w Minneapolis”? Skoro byt historyczny to nie wszystko i skoro historii świata, która ma tendencje do anonimizowania, zawsze trzeba przeciwstawić głos jednostki, nawet w duchu pogodnej autorefleksji: „Nic na to nie poradzę, że tak jesteśmy skonstruowani: jedna połowa z bezinteresownej kontemplacji, druga – z apetytu”.

Nazajutrz po tym wieczorze w Łazienkach odbyło się w redakcji Gazety Wyborczej przyjęcie dla przyjezdnych autorów, na którym ówczesny prezydent Aleksander Kwaśniewski trochę za długo wygłaszał pochwały na własny temat – zanim otrzymał od redaktora naczelnego uprzejme napomnienie, by nie przesadzał, mimo wszystkich swoich zasług dla integracji Wschód-Zachód. Osiemnastoletni gość z Paryża z dawnych lat stał się teraz korpulentnym mężczyzną po pięćdziesiątce, ale jego, wciąż ten sam, szelmowski uśmiech pozwalał spojrzeć na minione lata z odpowiedniej perspektywy. Ponad ćwierć wieku później będę miał jutro wielką przyjemność ponownie spotkać się z Adamem Michnikiem. Nawet jeśli to, co nas w obecnym świecie otacza i gnębi nie mieści się w kategoriach *przyjemności*. Tym ważniejsze jest to, że są ludzie i książki, w których możemy znaleźć oparcie – *zarówno* na Wschodzie, *jak i* na Zachodzie. W każdym razie prawdą jest to, co powiedział kiedyś Emmanuel Levinas: żadna forma odnalezienia siebie nie jest tak ekscytująca jak poznawanie drugiego człowieka. **I to również jest antidotum na rozpacz, w którą nie wolno nam popaść.** Dziękuję Państwu za uwagę.

Przekład z niemieckiego: Karolina Golimowska